

Lato 2010 roku postanowiliśmy spędzić na Bałkanach. W naszych planach było odwiedzenie 9 krajów i przejechanie własnym autem ponad 6000 kilometrów. Najwięcej czasu na relaks i wypoczynek po całorocznej pracy i drodze dojazdowej mieliśmy spędzić na złotych piaskach Bułgarii, poznając przy tej okazji ten kraj także z innej strony niż jedynie jako wakacyjny cel dla poszukujących słońca plażowiczów.

---

Wyjechaliśmy 25 czerwca, gdy tylko nasza córka odebrała świadectwo szkolne. Ruszyliśmy w kierunku Słowacji, a pierwszego dnia dojechaliśmy do węgierskiego Debreczyna, gdzie mieliśmy pierwszy nocleg. Najbliższe trzy dni poświęciliśmy na przejechanie całej Rumunii wszerz i poznanie tego kraju w miarę możliwości czasowych. Zależało nam zwłaszcza na Transylwanii, gdzie zwiedziliśmy Sighisoarę - miasto rodzinne Draculi i Bran - legendarny zamek owego wampirycznego bohatera. Zajrzeliśmy też do Bukaresztu i Constanty, skąd wjechaliśmy na terytorium Bułgarii.

Niestety ten przysłowiowo gorący kraj, nie przywitał nas słoneczną pogodą. Dojeżdżaliśmy do Durankulak w strugach deszczu. Zaczęło się jednak przejaśniać i zatrzymaliśmy się przy sympatycznym osiołku, który stał sobie smutny, przywiązany do ogrodzenia. To on pierwszy przywitał nas w Bułgarii. Po tym miłym powitaniu zmierzaliśmy dalej na południe, w kierunku Bałczika. Zdecydowaliśmy się wjechać do miasteczka, by je bliżej poznać. Zachwalali je głównie Rumuni, których spotkaliśmy parę dni wcześniej, a i nasz przewodnik Bezdroży przedstawiał to miasteczko jako ciekawą turystycznie nadmorską miejscowość ze wspaniałymi ogrodami i pałacem rumuńskiej królowej.

Wjazd do Bałcziku był jednak bardzo nieciekawym, dziurawym, smutnym, szarym i ponurym oraz totalnym brakiem oznaczeń. Znaleźliśmy jakiś kierunkowskaz prowadzący do portu i tam się skierowaliśmy. Zamiast do przystani wjechaliśmy do jakiejś dzielnicy Romów, gdzie dookoła stały same rudery, domki sklecone z odpadów budowlanych i tektury. Gdziekolwiek stali zapatrzeni i wyraźnie zdziwieni naszą wizytą mieszkańcy. Na wzgórzu drzemał na stojąco zabity osiołek, a nad nim widniał wielki biały napis na konstrukcji - Bałczik, prawie jak ten z Hollywood. Niesamowity kontrast wątpliwej promocji miasteczka z wszechogarniającą nas nędzą. Dopiero z tego wzgórza dojrzelśmy w oddali plażę i osiedle ładnych domków. To chyba powinno być centrum. Na nieszczęście znowu zaczęło padać i postanowiliśmy się stamtąd wynosić, by dotrzeć jak najszybciej do naszego hotelu w Czajce, koło Złotych Piasków.

Znalezienie miejsca naszego noclegu nie było łatwe. Droga prowadząca wzdłuż morskiego nadbrzeża między Warną a Złotymi Piaskami została zamknięta wskutek poważnych osuwisk i zapadnięcia się do morza kilku

budynków i fragmentów asfaltowej nawierzchni, chyba po ostatnich ulewach i nawałnicach. Krążyliśmy zatem różnymi uliczkami w kółko, a panie z recepcji hotelowej, do których dzwoniiliśmy o szczegóły dojazdu nie znały angielskiego za grosz. Tak samo jak zapytywani przez nas ludzie. Przy tej okazji warto pamiętać, że po bułgarsku "ima" wcale nie znaczy "nie ma", ale przeciwnie - "jest". Niech nie zmyli nas też przeczące kiwanie głową na tak i potakujące, które znaczy nie. Co gorsza „prawo” po bułgarsku znaczy prosto. Mimo tego, że znaleźliśmy te wszystkie zawiłości, musieliśmy wezwać na pomoc przejeżdżającego taksówkarza, który doprowadził nas pod wskazany adres, ale skasował od nas za to 10 euro. Trudno, trzeba czasem zapłacić gapowe.

Sama Czajka (Chaika) to zwykła miejscina, która korzysta na popularności oddalonych stąd jakieś 7 kilometrów Żółtych Piasków. Widać, że niedługo stanie się częścią tego znanego kurortu, bo powstaje tu wiele nowych hoteli i pensjonatów. Charakterystycznym budynkiem jest tutaj jednak zaniedbany hotel „Żurnalist” w iście socrealistycznym stylu. W ogóle infrastruktura Czajki to zapadające się chodniki, kilka domów wypoczynkowych, jeden większy nowy hotel w budowie, zamknięta droga do Żółtych Piasków, parę sklepów i kawiarni, jedno biuro turystyczne i kilkanaście straganów. Aha i jeszcze przystanek autobusowy, oczywiście bez rozkładu jazdy.

Na plaży sytuacja nie wyglądała lepiej. Morze co prawda było w miarę czyste, ale pływało w nim sporo zielonych wodorostów. Ciekawostką okazały się natomiast gorące źródła, a właściwie rura, z której wypływała ciepła, siarkowa woda do prowizorycznego oczka kilka metrów od brzegu morza. Drugie oczko wodne powstało „na dziko” pod przeciekiem owej rury, w miejscu niezbyt dokładnie owiniętym szmatami. Wyglądało to żałośnie, ale z czasem nas to zaczęło bawić i nawet parę razy skorzystaliśmy z tego specyficznego, topornego jacuzzi pod gołym niebem.

Kiedyś w szale letniego wypoczynku zapragnęliśmy zamówić sobie tam drinki w jedynym barze na plaży. Ale żeby się do niego dostać od strony morza musiałem wskoczyć na około metrowy, dygoczący się pomost z powyłamywanymi deskami. Gdy otrzymałem od kelnera dwie szklanki wypełnione jakąś ciecżą, zastanawiałem się co zrobić dalej, by je donieść do naszego siedliska na plaży. Musiałem postawić drinki na pomoście, zeskoczyć z niego w piach i dopiero z powrotem je wziąć do ręki. To jakiś absurd, ale śmiałem się z tego w duszy, bo to moje pierwsze takie doświadczenie rodem chyba jeszcze z trudnych i dziwnych czasów komuny.

W hotelu zakwaterowani byli sami Polacy, w większości z Krakowa, awanturujący się o małe porcje, tworzący długie kolejki na pół godziny przed otwarciem stołówki, by wykosić z barku co najlepsze rzeczy, jak ciasto i owoce, których nigdy nie starczało dla tych co przychodzili

trochę później. Ot, zwykła atmosfera miejsc zwanych „taniami wakacyjnymi noclegami” z katalogu Neckermana. Na dodatek oferta wycieczek fakultatywnych, na przykład do Stambułu była dużo droższa i mniej atrakcyjna programowo niż w miejscowym biurze turystycznym, a właściwie „biurku”, które mieściło się w przydrożnym lokaliku miejscowego touroperatora, gdzie było miejsce jedynie na jedno biurko właśnie i trzy krzesła. Niskie koszty, niskie ceny, można się nawet targować.

Niewątpliwą naturalną atrakcją wybrzeża Bułgarii jest wschodnia ekspozycja plaż. Piękne widoki o wschodzie słońca mogliśmy podziwiać między innymi po powrocie ze Stambułu, gdy po dwóch dniach zwiedzenia tej tureckiej metropolii dotarliśmy z powrotem do Czajki nad ranem. Mimo zmęczenia, pastelowe kolory przyciągnęły nas na plażę i nie było czego żałować. To jedno z piękniejszych wspomnień z całego pobytu w Bułgarii.

Lekko znudzeni jednakże małomiasteczkową atmosferą Czajki, gdzie oprócz piasku i morza największą atrakcją było wieczorne kosztowanie trunków, z popularną rakiją na czele i całkiem niezłym piwem Kamenitza i Zagorka, zdecydowaliśmy się wyruszyć do kurortu z prawdziwego zdarzenia, czyli Złotych Piasków.

Tam od razu widać było tłumy turystów i klimaty jak z Sopotu. Wszechobecny kicz w postaci rzędu hoteli, migających światełek, repliki wieży Eiffle’a, straganów, deptaczka, kantorów, karuzel, lanserów. Wszędzie przechadzający się Holendrzy, Niemcy, Brytyjczycy i przybysze z wielu innych krajów, podobno też sporo mniejszości seksualnych. Plaża piaskowa, czysta i przyjemna, choć pogodę mieliśmy pochmurną, a w pewnym momencie zerwał się taki wiatr, że wszyscy biegali po piasku starając się dogonić i złapać fruwające koce, parasole i maty. Jak dla nas ten jeden dzień w Złotych Piaskach nam wystarczył i już tam więcej nie wróciliśmy.

Czas poznać Warnę. Dojazd do letniej stolicy Bułgarii to zaledwie kilkanaście kilometrów od Czajki, która de facto jest jedną z dzielnic tego miasta. Zaczęliśmy od wizyty w Delfinarium, gdzie obejrzelśmy standardowe show z przesympatycznymi delfinami. Bilety w cenie 20 lewów - dorośli i 14 lewów - dzieci (1 lew tj. 1 BGL = ok. 2,50 zł), ale pokaz wart był tej ceny, a dzieciaki, które zabraliśmy ze sobą wyglądały na szczęśliwe. Starając się im zapewnić jeszcze jakieś inne atrakcje, zmierzaliśmy do Akwarium w Parku Nadmorskim. Niestety ten obiekt i znajdujące się tam wystawy to całkowita porażka. Zaniedbany budynek śmierdzący stęchlizną, przyduszone ryby w akwariach, wypchane okazy z obłamanymi częściami nie zachęcały do dłuższego pobytu w tym miejscu, zwłaszcza, że tak naprawdę i powierzchnia ekspozycyjna była niewielka. Wynieśliśmy się stamtąd po kilku minutach i żal nam było nawet tych kilku wydanych lewów (4 - dorośli, 2 - dzieci) na tę

wątpliwą atrakcję.

Po paru krokach trafiliśmy na warneńską plażę, ale odór uryny unoszący się w powietrzu w pobliżu zabudowań, przez które należało najpierw przejść, by się dostać na piasek, skutecznie nas zniechęcił do dłuższego pobytu w tym miejscu. Zwróciliśmy natomiast uwagę na stare okręty wojskowe stojące na w nadmorskim parku, jako swoiste muzeum morskie na świeżym powietrzu.

No, cóż, generalnie Warna nie zrobiła na nas najlepszego wrażenia. Jak na letnią stolicę Bułgarii zbyt wiele tu jeszcze pozostałości i klimatów rodem z poprzedniej epoki. Jednym z ciekawszych momentów była moja wizyta w Muzeum Władysława Warnieńczyka, przy okazji ponownego pobytu w tym mieście, gdzie trafiłem po odbiór mojego auta z warsztatu, w którym wymieniano mi zapchany filtr powietrza skutecznie utrudniający dłuższą jazdę.

Młody polski król Władysław II stanął na czele krucjaty przeciwko Turkom i wraz z węgierskim wodzem Hunyadym ponieśli w 1444 roku sromotną klęskę. Podobno syna Jagiełły poniosła młodzieńcza werwa i na fali początkowych sukcesów w bitwie pod Warną rzucił się z setką rycerzy na samego sułtana, co skończyło się dla niego utratą głowy i klęską całej armii sprzymierzonych. Bułgarię czekało za to 5 wieków osmańskiej niewoli, z której wyzwolili ją dopiero Rosjanie po wojnie w 1878 roku. O ironio carem „oswobodicielem” był nie kto inny jak znany nam rosyjski władca Aleksander II, który w tym samym czasie w innym słowiańskim kraju, Polsce, rusyfikował cały naród i wprowadzał terror okrutnego zaborcy dusząc niepodległościowego ducha wśród powstańców styczniowych i ich dzieci. Może to dziwić, ale należy zauważyć, że znienawidzeni przez niego Polacy byli katolikami, a oswabadzani z islamskiej niewoli Bułgarzy czy Serbowie wyznawali jedyną, prawdziwą, prawosławną wiarę.

Dzisiaj w parku wokół muzeum stoi pomnik Warnieńczyka, z wdzięczności za to, że zginął w walce o wolność Bułgarii. Z usypanego dla niego wzgórza na domniemanym miejscu dawnej bitwy widać ciekawą panoramę miasta. W samym natomiast kopcu znajduje się wejście do symbolicznego grobu naszego króla. W pobliżu stoi też cokół Hunyadego i murowane symbole chrześcijańskich chorągwi biorących udział w bitwie przeciwko Turkom, w tym oczywiście polskiego, białego orła.

Bardzo ciekawa i pouczająca była dla mną pogawędka z panią kustosz tegoż muzeum. Starła się wyjaśniać mi zawiłości polityczne tamtych czasów, mówiła o przyjaźni polsko-bułgarskiej i założycielu muzeum oraz tłumaczyła się z postawy Bułgarii w czasie drugiej wojny światowej stwierdzając stanowczo, że mimo przyłączenia się, co prawda, jej kraju do państw Osi (wraz m.in. z Rumunią i Węgrami), Bułgarzy w ogóle nie uczestniczyli w działaniach wojennych, a w 1944 roku

przeszli przecież na stronę aliantów. No cóż, każdy ma swoją interpretację historii, bo ta pani zapomniała chyba o wielu faktach, jak choćby to, że w przymierzu z Hitlerem Bułgaria zbrojnie okupowała tereny we wschodniej części Jugosławii oraz greckiego terytorium wokół Salonik. A odwrócenie się od nazistów wtedy, gdy już było wiadome, że przegrają wojnę nie było raczej aktem heroizmu. Ale nie wdawałem się w dyskusję, by nie nadwyręzać ponoć dobrych relacji bułgarsko-polskich.

Po kilku dniach wróciłem też samotnie do Bałczika, bo nie mogłem przeboleć, że nie znaleźliśmy za pierwszym razem sławetnych ogrodów rumuńskiej królowej Marii, która miała tam swoją letnią rezydencję zwaną Spokojnym Gniazdem. Udało mi się tym razem bez problemów do nich dotrzeć, bo oznaczony zjazd z głównej drogi jest kilka kilometrów za miastem, o czym wcześniej nie wiedzieliśmy. Okazało się, że cały 35 hektarowy teren obecnego ogrodu botanicznego i znajdujące się tam budynki w różnych stylach i związane z wieloma tradycjami religijnymi (rumuńska królowa wyznawała bahaizm), były warte tego zachodu. Co ciekawe, Bałczik został odsprzedany Bułgarii w 1940 r. za 7 tys. ówczesnych złotych lewów. Przechadzanie się wśród dobrze utrzymanej zieleni, przytulnych pałacyków i szumiącej wody to dobry pomysł na oderwanie się od plażowania i wysiadania przy hotelowym basenie. Jedną z tamtejszych atrakcji jest spora kolekcja kaktusów. Polecam też w pałacowej, tureckiej kawiarence kawę z przesłodką bakławą, czyli czymś w rodzaju francuskiego ciasta z syropem i orzechami.

W drodze powrotnej z Bałczika, między Złotymi Piaskami a Warną warto zwiedzić monastyr Aładża. Pozostałości klasztoru znajdują się w wysokiej na 40 metrów skale, gdzie mnisi wydrążyli swoje cele i pomieszczenia gospodarcze. Na górę wchodzi się po dobudowanych współcześnie schodach i platformie, a dawniej dostęp był za pomocą drabin i lin. Oglądając życie pustelników na ilustracjach prezentowanych w monastyrskim muzeum, przyszło mi na myśl, że taka ucieczka od rzeczywistości i prostota bytu dzisiaj wydaje się mało możliwa, przynajmniej w tej części świata.

Idąc za ciosem, kolejnego dnia udaliśmy się na dokładniejsze poznanie północnego wybrzeża Bułgarii, a naszym głównym celem był przylądek Kaliakra, gdzie ponoć można było spotkać dziko pływające delfiny. Po drodze obejrzelśmy też Trackie Klify, strome na kilkadziesiąt metrów o żółtawym kolorycie skał. Bułgarzy uważają Traków za swoich przodków, a jednocześnie protoplastów ludów europejskich. Podobnie jak niegdyś polska szlachta szukała swoich korzeni u niejakich Sarmatów. Plemiona trackie przywędrowały na te tereny ok. II tysiąclecia p.n.e. i zajęły wschodnią część Półwyspu Bałkańskiego. Znani byli z wojowniczego charakteru, biegłości w łucznictwie i jeździectwie, oraz - co ciekawe - poligamii. Młode kobiety z niektórych plemion cechowała znaczna swoboda seksualna, co było związane z praktykowaniem kultu bóstw związanych z Dionizosem, greckim bogiem rozpusty i wina.

Po tym pierwszym przystanku i krótkiej lekcji historii, jechaliśmy dalej na północ, aż do znanego cypla. Przy wjeździe na jego obszar należy uiścić opłatę wjazdową, która uprawnia też do miejsca parkingowego. Nazwa „Nos Kaliakra” oznacza „krwawy przylądek” od barwy tamtejszych skał. To miejsce zachwycało nas swoim krajobrazem. Strome, czerwone, skalne klify nad brzegiem pofalowanego morza pozostawiają wspaniałe wrażenia. Ruiny rzymskiej twierdzy i muzeum archeologiczne w wydrążonej skale oraz przyskalna kawiarenka z wyśmienitymi potrawami, jak świeże omułki (mussels - midii), małe chrupiące rybki (safrid - scad), morskie ryby z kałkanem na czele (turbot), popijane białym winem albo airanem (jogurtem rozcieńczanym wodą), godne są poświęcenia jednego dnia, by się tu wybrać. Jeśli będziemy mieć trochę szczęścia, które akurat tego dnia nam sprzyjało, można zobaczyć ze wzgórza nie tylko przepastne urwisko, ale także baraszkujące w wodzie butlonosy, które są już unikatami w tej części Europy.

Dla ciekawskich, na samym końcu cypla mieści się symboliczny grób św. Mikołaja, który według legendy uciekał przed Turkami w stronę morza, a ziemia się pod nim roztaczała tworząc przylądek Kaliakra właśnie. Inna z legend mówi, że czerwony kolor skał pochodzi od krwi 40 dziewic, które uciekając przed osmańskim zniewoleniem splotły sobie razem warkocze i wskoczyły do morza rozbijając się o skały. Dzisiaj można zobaczyć tu posąg odnoszący się do tej legendy. Przed wejściem na teren dawnej, obwarowanej twierdzy stoi też pomnik rosyjskiego generała Uszakowa, który stoczył w pobliżu zwycięską bitwę morską z turecką flotą. Na końcu „nosa” stoi też rzeźba strzelca, jakby celującego w stronę morza.

Dalej na północ znajduje się miejscowość Kamienny Brzeg, a około kilometra od niej Rezerwat archeologiczno-przyrodniczy Jajłata. Znajduje się tam odkryte w pobliskich nadmorskich skałach sarmackie cmentarzysko oraz jaskinie zamieszkałe przez człowieka w czasach prehistorycznych. Istniejące tam urwisko skalne ma około kilometra długości i 200-metrów szerokości, a w pionowej ścianie jasno ubarwionego klifu wydrążonych jest ponad 100 jaskiń (naturalnych lub stworzonych przez człowieka). Jest to świetne miejsce na długie spacery i doskonałe miejsce do nurkowania, gdyż można tam podpatrywać delfiny i czarne pelikany.

Następnym przystankiem na naszej drodze podczas tej jednodniowej wycieczki na północne wybrzeże była miejscowość Szabla, przed którą nad morzem stała latarnia morska. Obok niej niestety było zamknięte, rozpadające się molo, na którego słupkach siedziały śmiesznie, rzędami kormorany. Wokół wałęsały się też bezdomne małe kotki. Sama zaś Szabla to szara, mało atrakcyjna turystycznie miejscowość, w której chyba do tej pory tli się duch poprzedniego systemu. W drodze powrotnej do Czajki, za Bałczikiem, zauważyliśmy tablicę reklamową z nowoczesnym resortem i polem golfowym przy wspaniałej latarni, ale jak się okazało

na miejscu, ośrodek - co prawda - jest wspaniały, pole golfowe również, ale latarni jeszcze nie zdążyli wybudować i ma być gotowa dopiero w przyszłym roku. To się nazywa marketing na zaś.

Znów jakieś dwa dni leniuchowania i ciągnęło nas do dalszego poznawania okolicy. Wyczytaliśmy gdzieś, że w uzdrowisku Św. Św. Konstantyn i Elena (dawniej Drużba) znajdują się gorące źródła spadające wprost do morza. Patrząc na naszą prowizorkę z Czajki, chcieliśmy zasmakować gorącej, uzdrawiającej odnowy w wielkim stylu. Nazwa miejscowości odnosi się do rzymskiego cesarza Konstantyna i matki chrześcijanki Heleny, którzy wprowadzając i propagując chrześcijaństwo zostali świętymi i patronami Bułgarii zarazem. Szukając plaży z gorącym źródłem natrafiliśmy na hotel „Czajka” (mewa), do którego pierwszego dnia naszego pobytu w Bułgarii kierowali nas niektórzy z zagadniętych przechodniów, jakby nic nie wiedząc o istnieniu małej miejscowości o takiej nazwie. Natknęliśmy się też na malutki monastyr, ledwo wystający z ziemi. To normalna rzecz na Bałkanach, gdzie Turcy pozwalali na kultywowanie wiary prawosławnej pod warunkiem, że cerkwie nie będą wyższe niż jeździec na koniu.

Dotarliśmy na małą, przeciętnie wyglądającą plażę, a na lewo od niej na ośrodek basenowy, przed którym wisiał baner reklamowy z wodospadem tryskającym wprost do morza. Pomyśleliśmy sobie - Cóż za wspaniały widok! Wiedzieliśmy już, że to tutaj. Bez wahania kupiliśmy bilety, ale to co zobaczyliśmy po przekroczeniu bramki, delikatnie mówiąc sromotnie nas rozczarowało. Na terenie całego „kompleksu” istniał tylko jeden basen w stylu „old fashion”, w którym taplali się podstarzali kuracjusze.

Szybko udaliśmy się kierunku morza, ale okazało się, że na malutkiej plaży walają się jedynie rupiecie i jakieś szczątki pomostu. Zapytaliśmy ratownika, gdzie można znaleźć gorące źródło, a on wskazał nam niebieską rurę z pokrętłem wystającą z ziemi tłumacząc, że tędy właśnie dostaje się gorąca woda do basenu. I to wszystko? A gdzie wodospad z baneru? A gdzie tryskająca ze skał woda? To tylko reklama? Co za rozczarowanie. Na osłode zafundowałem żonie masaż w przybasenowej budce u sympatycznej pani, a sam w tym czasie wskoczyłem do basenu pod kran z lejącą się tam gorącą wodą. Niestety ciężko mi było przyjąć wrzątek na gołe ciało więc ograniczyłem się jedynie do pływania w pobliżu tego pseudoźródła.

Po kilkadziesiąt minutach żona skończyła zabiegi masujące i wynieśliśmy się z tego zaniedbanego „kompleksu” bez kompleksów. Wstąpiliśmy jeszcze na dość przyjemną plażę przy Hotelu „Sirius”, gdzie po lewej stronie stał jakiś statek. To chyba najprzyjemniejsze miejsce w całym uzdrowisku. Po plażowaniu zatrzymaliśmy się na obiad w jednej z popularnych tam, rosyjskich restauracji. Zamówiłem specjalność zakładu, czyli chrupiące rybki tzw. byczki, zwane u nas

też babkami lub kozami, podane oczywiście w całości z główkami i wpatrującymi się w ciebie zbielełymi ślepiami. W smaku były natomiast całkiem niezłe, choć osobiście wolę jeść ryby drapieżne, a nie te pełzające w mule. Kelner zapraszał nas też wieczorem na raki, które można samodzielnie złapać sobie w akwarium przed przyrządzeniem i podaniem. Jednak nie zdecydowaliśmy się zostać tutaj tak długo i wróciliśmy pośpiesznie do naszej malutkiej Czajki. Tym samym mogliśmy uznać, że większość atrakcji północnego wybrzeża Bułgarii i okolic Warny mamy zaliczone. Czas ruszyć na południe..